ORLĘTA

OTO TWA PIEŚŃ!

Przeciwstawiaj się hardo, namiętnie, zuchwale,
Oko w oko ciemnemu losowi czy skale,
Naporowi odporem, piersi piersią nagą,
Niewierze swoją wiarę, lękowi odwagą,
Ospałości porywem, ciągle, niezmużenie!

Leop. Staff



Mal. W. Kossak „Zwyciężyliśmy“

№ 6. Ilustrowany dwutygodnik dla młodzieży Rok I.

Cena egz. 25 gr.

TO i OWO

Pisz tak, jak gdybyś znajdował się sam we wszechświecie; nie obawiaj się zgoła zawiści, ani przesądów ludzkich, inaczej — chybisz celu.

Juljan Offray de la Mettrie

W PARU WIERSZACH.

W ostatnich tygodniach zaszły bardzo ważne wypadki na Górnym Śląsku, dwa zaś z nich szczególną zwracają na siebie uwagę: — zapisy dzieci do szkół powszechnych, i ponowne wybory do rad gminnych w tych okręgach wyborczych, w których poprzednie głosowanie zostało unieważnione.

Wszystkie te wydarzenia świadczą wymownie o zwycięstwie polskiem, nad hydrą zdradzieckiej roboty pruskiej. W duszach ludności śląskiej, nastąpił głęboki zwrot ku zrozumieniu obowiązków obywatelskich względem Polski.

Zaczynamy wierzyć w wielkie Jutro!

Odczuwamy dzisiaj jak uderzenia niemieckie stawają się nieszkodliwe, jak oto pęd i napór pruskiej zachłanności -- chcący zgermanizować dusze polskie, a potem podstępem zagarnąć skarby górnośląskiej ziemi — został wstrzymany silną zaporą ducha polskiego.

Fala germańska z taką siłą podmywająca wyżyny duszy polskiej, poczyna zwolna odstępować przed energją i wytrzymałością naszego narodu.

Na całym obszarze województwa górnośląskiego przeszło 90% dzieci w wieku szkolnym zapisano do szkoły polskiej.

W porównaniu do ubiegłych lat są to korzyści dla Polski znaczne.

Niechże treść obrazka na pierwszej stronie dzisiejszego numeru będzie nam otuchą —„Zwyciężyliśmy“ i zwyciężać będziemy o ile przepełnią się serca nasze poświęceniem dla Ojczyzny, sumienną i twórczą pracą, umiłowaniem prawdziwej wolności, zgodą i natężoną uwagą w stronę odwiecznego wroga, co się rozsiadł na polskich ziemiach i wyciskając z nich resztki polskiej krwi, czeka tylko na sposobność, aby się rzucić — ze straszliwą pieśnią zniszczenia, w otwarte granice Polski.

Pamiętajże o tem młodzieży kochana, iż potęga i znaczenie Polski wśród narodów świata, w tobie jest ukryta.

„DZIECI POLSKIE — DZIECIOM AMERYKAŃSKIM.“

Słyszeliście o tem, że wody rzeki Missisipi i jej dopływów przerwały kikanaście tam i zalały olbrzymie połacie ziemi. Wielkie plantacje cukru i bawełny są całkowicie zniszczone. Przeszło 500.000 osób pozostało bez dachu nad głową. Dziesiątki tysięcy dzieci pozostały bez opieki. — Powódź, która nawiedziła olbrzymie przestrzenie jest tak wielkich rozmiarów, iż staje się ona jedną z największych katastrof, jakie kiedykolwiek nawiedziły Stany Zjednoczone. Obszary nawiedzone powodzią są 3 razy większe od terytorjum Holandji.

W związku z tą katastrofą powodzi — Towarzystwo Polsko-Amerykańskie organizuje wielką akcję współczucia i pomocy dla dzieci amerykańskich. Ogłoszona w tej sprawie odezwa głosi m. in. „...miljony westchnień i modlitw dziecięcych niech będą wyrazem naszych uczuć, a składki choćby groszowe, choćby najdrobniejsze niech dadzą dowód, że dzieci polskie nie zapominają o swoich przyjaciołach“. Wszelkie ofiary pieniężne dla powodzian przyjmuje Towarzystwo Polsko-Amerykańskie na konto P. K. O. Nr. 10.490 (z zaznaczeniem celu wpłaty).

POLACY NA OBCZYŹNIE.

POLACY W HAMBURGU I OKOLICY.

Hamburg i okolica liczy około 28.000 Polaków. Najgęściej zaludnione Polakami są Hamburg-Rothenburgsort, Wilhelmsburg i Schiffbek.

Polacy są zorganizowani w licznych towarzystwach i związkach. Wszędzie daje się odczuwać silny brak nowych książek i czasopism polskich. Najczynniejszemi wśród związków młodzieży są towarzystwa śpiewacze „Harfa“ i „Halka“ — działalnością swoją zyskują sobie coraz większe uznanie, ale walczą z wielkiemi dotąd brakami. Nie posiadają bowiem ani nut, ani bibljoteczki, ani swoich instrumentów. Lecz mimo tak trudnych warunków, wszyscy czują się jedną wielką rodziną.

Wilhelmsburg, o godzinę odległy od Hamburga, inaczej polską wsią zwany, jest może najbardziej przepełniony Polakami. Na ulicach nawet słychać polską mowę, nie mówiąc już o lokalach, w których się zbierają Polacy.

NOWINY SPORTOWE.

Dnia 28. V. odbył się w Warszawie trójmecz lekkoatletyczny państw bałtyckich: Łotwy, Estonji i Polski.

W ogólnej ocenie pierwsze miejsce przyznano Polsce, drugie Estonji, trzecie Łotwie.

Na tych zawodach ustanowiono dwa nowe rekordy polskie: — na 5000 m. (Freyer, 15:46,2) i w sztafecie 4×400 (czas 3:28,2).

OD ADMINISTRACJI.

Następny numer „Orląt“ i „Orlątek“ będzie poświęcony pamięci Juljusza Słowackiego z okazji sprowadzenia Jego zwłok do kraju.

Ze względu na zwiększoną objętość druku oraz umieszczenia kilku barwnych obrazków wewnątrz numeru, cena egzemplarza wynosić będzie 1 zł. — jednakże w prenumeracie pozostaje bez zmiany. Wobec tego, prosimy tych P. T. Prenumeratorów, którzy wpłacili miesięczną lub kwartalną prenumeratę, a ważność jej kończy się z obecnym № 6, — o łaskawe wznowienie przedpłaty na następny kwartał, aby uniknąć opóźnienia lub wstrzymania dalszej wysyłki „Orląt“.

Cena „Orląt“ i „Orlątek“ w sprzedaży zbiorowej wynosić będzie 50 groszy „Orląt“ bez „Orlątek“ 40 groszy.

Dwutygodnik ilustrowany

ORLĘTA

dla młodzieży polskiej

NUMER 6.  KATOWICE, DN. 1-GO CZERWCA 1927 R.  ROK I.

Najmilszą Bogu modlitwą jest ukochanie wolności.
A. Mickiewicz

Modrzew polski na górze Chełmowej pod Nową Słupią.

JÓZEF ZAŁĘSKI

MODRZEW POLSKI NA GÓRZE CHEŁMOWEJ POD NOWĄ SŁUPIĄ.

Na prastarych górach środkowej Polski, znanych pod nazwą gór *Świętokrzyskich* albo raczej *Łysych*, w ich łukowato ku północy wygiętych fałdach a równoległych do siebie tam, gdzie Czarna Nida i Kamienna biorą nurty swych wód kryształowych — rozciąga się pełna głębokiego majestatu *puszcza jodłowa*.

Bogactwa wszelkiego rodzaju jest w puszczy wiele.

Rozrosłe, w potędze swojej przeogromne, pnie drzew wiekowych, sieją w duszy wędrowca ciszę i pokorę. Człowiek zabłąkany w ich ciemne ostępy czuje, iż znalazł serdecznych przyjaciół, wśród których pokrzepieniem serce swe napoi, a troski gnijące, zapowietrzone wyciągnie z zakątków zbolałej duszy i rozłoży je na zielonej murawie ku słońcu, co się złotemi plamami ścieli po kwiecistych polanach.

Wokół szumi puszcza, a pod jej szeroko rozpostartemi konarami rozsiadła się gromada karłowatych mieszkańców, z pośród których wybija się *bez koralowy*, a runo leśne kryje bryły i złomy kwarcytu to gęstszym, to rzadszym kobiercem. Znajdziesz w tym podszyciu leśnem jasnozielone plamy *śledziennicy okółkowej*, bielejący od spodu swych liści *lepiężnik biały*, szeroko rozkładające swe palczaste liście *żywce*; zaś pod głazami czają się rozłożysto-listowiowe *paprocie*.

Ale ileż to mniejszych a dostojnych mieszkańców puszczy jodłowej, znajdziesz w nizinach wokół źródeł i strumieni, — które to giną pod ziemią, to wydostają się znowu na powierzchnię, z cichym po niżej spływając na dół szmerem, — przepysznie po wyrębach się rozrastających, wśród których wznosi wysoko w górę swe żółte kwiatostany *starzec gładkolistny*, ujęty u podstawy wraz z poprzednikami przez zastępy *mchów*.

Wśród tego potopu roślinności szczególną uwagę zwraca *bór modrzewiowy*.

Brzegi boru modrzewiowego, który się rozsiadł na lössem krytych przestrzeniach góry Chełmowej — stroi *orlica* wraz dziesiątkami towarzyszy tworząc, gęste i miękkie posłanie jakby wspaniały i barwny dywan, który się obwinął wokół wyniosłych modrzewi.

Modrzew jest w Polsce obecnie drzewem nader rzadkim, a na górze Chełmowej jest jedynem stanowiskiem, gdzie modrzew tworzy duże, czyste, nad wyraz piękne drzewostawy. Są to już resztki tych wielkich borów modrzewiowych, które zajmowały swego czasu 45.000 morgów w województwie Sandomierskiem.

Drzewa tu są wiekowe, a czasem olbrzymy liczące sobie mamutowe lata. Obwód pnia, takiego kolosa, czterech ludzi z trudnością objąć może; wiele z nich dochodzi do 35 metrów wysokości przy 1 metrze średnicy.

Pod okapem, tych świadków prastarych historyj, ich wiotkich pod szum wiatru świszczących gałęzi, miejscami tylko *jałowiec* porasta, miejscami zaś i gęsta młodzież modrzewiowa, która jednak słabo się udaje, pomimo pieczy, jaką ją człowiek otacza; zaś runo tylko leśne na wiosnę żółci się i krasi ich podcienia.

Prof. Raciborski w swoich słynnych badaniach wykazał, iż modrzew w górach Świętokrzyskich jest odrębny i różni się od modrzewia Alp, Tyrolu i Delfinatu zarówno wzrostem, jak i więcej stożkowatą koroną, której gałęzie są cieńsze i sterczą bardziej ku górze, niż u *modrzewi alpejskich*, a szyszki jego budową łusek raz przypominają *modrzew syberyjski* to znów *modrzew dawurski*, lub wreszcie *modrzew europejski*.

Dla tej znacznej powyższej odrębności charakteru modrzewia naszego, prof. Raciborski nazwał go *modrzewiem polskim*.

Z tych to olbrzymów budowano u nas dworki, a szczególnie kościółki, które są nadzwyczaj piękne; przetrwały niektóre z nich kilka wieków, spotyka się je we wszystkich zakątkach Polski.

Na Śląsku kościółki modrzewiowe zajmują niepoślednie miejsce, będziemy często wspominali o nich w następnych numerach.

BAŚŃ TATRZAŃSKA O KRÓLU WĘŻÓW.

Ciąg dalszy (5).

Od tego czasu idąc na ryby i wracając zawsze najregularniej na siodełko zaglądał, ale choć już ścieżkę do paliczki wydeptał, ani rady jej podnieść. Po roku do wielkiej siły przyszedł, kloce mógł dźwigać, ale osikowej paliczki ani rusz. Myśli sobie: Pewnie tu i największa siła nie pomoże, jeżeli jej nie każą się poruszyć; więc zaczął lilji prosić serdecznie, żeby kazała paliczce nie upierać się dłużej. Prośby podobały się lilji, bo złote pszczoły wielkiemi tłumami brzęczały, ale nie tak łatwo dawała się uprosić. Klął się Perłowic, że ani grosika ze skarbów króla wężów dla siebie nie zatrzyma, że byle go zwojował, paliczkę w kościele złoży, że się od ludzkich podziękowań ukryje i że w głębi duszy nigdy sobie zwycięstwa nie przysądzi.

Mile lilja tych przyrzeczeń słuchała, ale paliczka jak nieporuszona leżała na Siodełku tak leży, a tu już osiemnaście lat Perłowicowi, parobczak jak lew!

Jednej nocy Perłowic zalany łzami błaga: — Zlituj się nademną liljo biała, powiedz już raz, co mam przyrzec, byle cię paliczka usłuchała? — Pszczoły brzęczą, zapach się rozchodzi, lilja się zjawia i mówi poważnie: „Ożeń się ze mną“. Perłowic przysiąkł z ochotą. Raniutko wybrał się na ryby, jak zwykle z siekierą, z krzesiwem i z rybackiemi przyrządami. Zachodzi po drodze na Siodełko, oho! osikowa paliczka lekka jak piórko! Porwał ją z radością, a że pamiętał dobrze rozkaz, żeby nie oglądając się iść w Tatry, więc przeżegnał się, westchnął do ojca i matki, spuścił się do Dunajca i szedł żwawo w głąb Pienin, umyśliwszy sobie, że się będzie rzeki trzymał, a ta go zapewne do Tatr doprowadzi i głodu w drodze zaznać nie da, karmiąc go rybą świeżą.



...jaka siła cię przywiodła?...

Przebywszy spory kawał drogi znalazł się Perłowic po kilku godzinach ciężkiej drogi na przestronnem miejscu, bo chociaż za Dunajcem okrutne skaliska sterczały, na jego stronie, to jest na prawym brzegu była spora dolinka drzewami zarosła. Droga choć równiejsza bardzo była trudna, bo gąszcze nad rzeką były wielkie; prawie wciąż przychodziło iść łożyskiem.

Niespokojność nieraz napadała Perłowica w tych puszczach, gdzie jeszcze żaden człowiek nie postał, ale jak tylko smutek zaczął go napastować, to mu zaraz paliczka strasznie w garści ciężyła. Zmiarkował, że mu banować niewolno, boby gotowa nie dać się unieść w ręku, więc rozmyślał, co to za radość będzie u ludzi, jak on zmoże króla wężów i od śpiących rycerzy cały kraj oswobodzi. Szedł znowu cały dzień, a nopotykał wszędzie, nieprzebyte gąszcze.

Nad rzeką smreki, ale za smrekami na prawo i na lewo ściany kamienne. Uszedł spory kawał drogi, spojrzy na rzekę, a tu chata taka jak szczawnickie; bez komina, dranicami przykryta, stoi socie pod skałami na polanie, a dookoła las świerkowy Ucieszył się bardzo Perłowic, przez rzekę z trudem przepłynął, bo woda bardzo rwała i stuka paliczką we drzwi zamknięte.

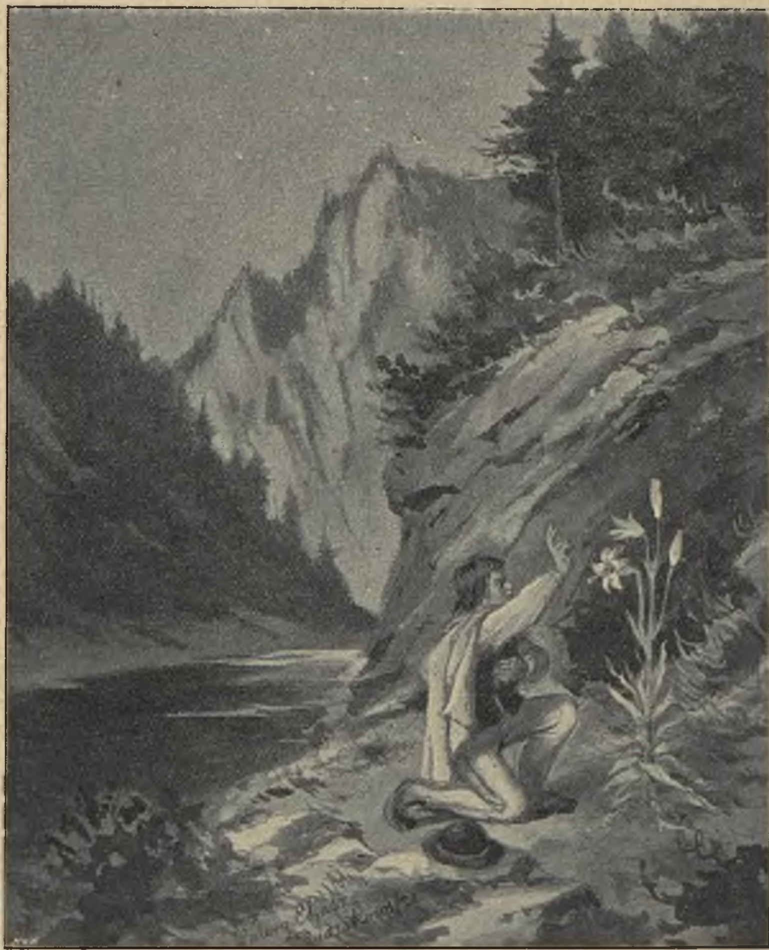
— Kto tam? pyta się cicho jakiś wy-

straszony głos. — Podróżny, otwórz. — Drzwi się otworzyły i patrzy się na Perłowica roztworzywszy z podziwu gębę jakaś blada, chuda kobiecina. — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powiada przybyły. — Na wieki wieków — odpowiada kobieta. — Skądeś ty chłopcze? — Z Niżniej Szczawnicy, a wy tutejsi? — Ja z Jaworek? A któż to ci tu przyjść kazał? — Ja sobie sam kazałem.

Kobieta wystraszyła się strasznie i z cicha szepcze: — Umykaj, pókiś cały, póki się ten nie rozbudzi — i z przestrachem pokazała palcem na zamknięte drzwi, co z czarnej izby, w której rozmawiali, do białej prowadziły.

— Któż to tam taki straszny śpi? śmiejąc się spytał Perłowic. — Śmiej się, śmiej głupcze, jak mnie nie posłuchasz, to zobaczysz. — Moja matko, alboż to ja tyle drogi na to zrobiłem, żeby do domu uciekać. — Nie chcesz, to nie uciekaj. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. — Któż to jest ten wasz gazda taki straszny?

Kobieta nic nie odpowiedziała, krzątała się milcząc przy kominie, a Perłowic usiadł sobie na ławie, podparł się na paliczce i rozglądał się po izbie.



...kłął się Perłowic, że się od ludzkich podziękowań ukryje...

— Matko, nie powiecie, co to za jeden ten wasz gazda? — Kobieta machnęła ręką niecierpliwie. Perłowicowi znudziło się milczenie; wstał i zaczął stukać do drzwi, co do świetlicy prowadziły. Kobieta ręce z rozpaczą załamała. — Kto tam? — gruby ochrypły głos odezwał się wewnątrz izby. — Podróżny — odpowiedział Perłowic. — Kto ci kazał do mnie przyjść? — Ja sobie sam kazałem. — Sam? — Zasuwa wewnątrz skrzypnęła, drzwi się otworzyły, Perłowic oko w oko spotkał się ze średnich lat góralem, niewielkim, ale jak niedźwiedź barczystym. Gazda dziwnie jakoś na gościa spoglądał wyłupiastemi, zielonemi oczami i uśmiechał się szeroką, obrzmiałą gębą. — Skądże to ty idziesz, zuchu? — Z Niżniej Szczawnicy. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. — Z daleka się, widzę, do nas wybrałeś, siadaj bracie na ławie. Cóż to cię do nas przywiodło?

Perłowic pomyślał sobie: Aha! Zbój nie chce Pana Boga pochwalić, a głośno rzekł: — Po próżniaka nie szedłbym taki kawał i przez takie czarne puszcze, mam

ja tu w Tatrach swoją sprawę. — Gazda przestał się uśmiechać i bardzo uważnie patrzał na Perłowica, a ten po izbie się rozglądał. Taka była jak wszystkie góralskie białe izby: ławy, łóżko, piec, stół, i nic więcej! Gazda po namyśle rzekł:— Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, poco do króla idziesz i kto cię posyła, przecież wiesz, że inaczej nie mogę cię puścić tędy! — Jeżeli nie możecie, to musicie — rzekł Perłowic — bo ja mam ochotę iść do samego króla.

— To nie nudź, ale powiedz, kto cię posyła i po co? — Powiedziałem już wam, że z własnej woli przychodzę. Jeżeli chcecie koniecznie wiedzieć, poco to wam powiem.

Sprzykrzyło mi się patrzeć na ludzką krzywdę, przychodzę tą pałeczką wyścigać stąd wszystkie smoki, paczwy, rycerze i samego króla wężów. Rozumiecie?

Gazda nasępił się jak puhacz i mówił powoli: — Żeby kogo stąd wyścigać, to go trzeba wprzód zmocować. Jaka siła cię przywiodła? — Moje własne oczy mnie prowadziły, a własne nogi niosły. — Jakąż ty bronią myślisz ze wszystkiemi tatrzańskiemi mocami wojować? — Co bądź wezmę w garść, to tem będę bił. Popatrzcie jeno, jaki ja siłacz. — Jedną ręką wziął stół i podniósł. Gazda zaśmiał się ochrypłym głosem. — Prawda, żeś siłacz. No, no, gotóweś wszystkich porozpędzać, naprzód jednak musisz się ze mną popróbować, bo ja tu straż trzymam, jak mnie nie zmożesz, to ani krokiem dalej nie pójdziesz.

— Dobrze, bijmy się — rzekł Perłowic i wstał z ławy, ścisnąwszy w garści paliczkę. — Czekaj, zuchu, w gorącej wodzie widzę jesteś kąpany, ktoby się tam bił w izbie, pójdziemy mocować się na polanę, ale wprzód musisz podjeść dobrze bo o głodzie to człowiek mdły. Hej, ty ropucho! co tam warzysz na śniadanie? — Barani przodek — odezwał się głos wystraszony z czarnej izby. — Nastaw jeszcze czarownico spory garnek grochu ze spyrką, a nim się śniadanie uwarzy, dawaj placków, słoniny, bryndzy i palenki. Słyszysz?



...jak zacznie paliczką bić, a tu żelazne łuski jak wióry lecą...

Kobieta przyniosła, co gazda kazał. Perłowic palenki nie chciał pić, ale jadło wygłodziwszy się w drodze zawijał jak wilk, wesoło z gospodarzem to o tem to o owem rozmawiając. — Jakże ty się siłaczu nazywasz? — spytał gazda. — Per-

łowic. — A wy jak? — Wołoszyn.

Groch był widać późno zbierany, bo się bardzo długo gotował. Prawie o obiadowej porze gazda z gościem skończył śniadanie. Podjedli sobie dobrze i Wołoszyn rzekł: — No bracie chodźmy się teraz bić. — Szedł przodem, a Perłowic za nim. Wystraszona kobiecina w czarnej izbie zdążyła mu szepnąć do ucha: — Umykaj, pókić cały, bo to smok.

Perłowic zadziwił się, ale rady nie usłuchał, a gdy już na polanie pod skałami stanęli, powiada: — Czemże się wy bronić będziecie, bo u mnie paliczka, a u was w garści niema nic? — Dam ja sobie radę, mówi Wołoszyn i pobiegł co tchu ku skałom. Poły od guni położył na dużym kamieniu, drugim wielkim z wierzchu przycisnął i umyka. Odziewek się nie rozdarł, ale wyciągnął się za Wołoszynem jak ciasto na kilkanaście sągów i w okrutny smoczy ogon się przemienił. Potem gazda wielkie palce do gęby włożył, jak szarpnie — a tu straszny pysk i kły. Trzasnął palcami — tu szpony. —Podskoczył, a tu już i nóg ludzkich nie ma, tylko zadnie łapy z pazurami, i czołgnie ku Perłowicowi bestja w żelaznej łusce, ogniem buchająca. Smok ani podobny do gazdy, tylko mu te zielone oczy pozostały.

Jak Perłowic przyskoczy, jak zacznie paliczką bić, a tu żelazne łuski jak wióry lecą i czarna posoka się leje. Smok widzi, że źle, ryknął i umyka, a ten mu na grzbiet, jak na konia siadł i po łbie go wali. Kości trzeszczą, mózg pryska i wyzionęła bezecnego ducha potwora. Leży do góry brzuchem, rozdziawiwszy szkaradny pysk.

Perłowic wrócił się do chaty, żeby się od kucharki to o tem, to o owem rozpytać. Wchodzi do izby, a zapłakana kobieta pyta:—Gdzie smok?—W piekle, a jego sprośne cielsko leży tam na polanie z rozdziawioną japą. Kobieta co tchu bieży, żeby popatrzeć, aż tu w jej oczach smoczy trup w straszną skałę się przemienia, co ją do dziś dnia ludzie Wołoszynem nazywają. Kobieta przeżegnała się, wbiegła do izby, porwała swoje szmaty, wybiegła przed chatę i umknęła. d. n.



Co to jest? („Konkurs Literacki“.)

HELENA WITKOWSKA

ZABAWA W RZECZPOSPOLITĘ.

W Szwajcarji, na przedmieściu Genewy, dyrektor Filip Prirat wprowadził do szkoły swej ulubioną przez chłopców zabawę w Rzeczpospolitę. Zaczęło się od tego, że dla zachęcenia dzieci do robót ręcznych, urządzono w szkole kilka sklepów, w których uczniowie wystawiali i sprzedawali sobie wzajemnie własne wyroby: stolarskie, koszykarskie, kartonowe, gliniane i t. p. Jednocześnie rozdzielono między nich określoną ilość pieniędzy wyciętych z kartonu.

Materjałów do robót dostarczał sklep opatrzony napisem „Generalny dostawca“. Bawiono się doskonale, wymieniając wyroby, powstawały coraz nowe warsztaty i nowe sklepy. Sporządzano przedmioty użyteczne, jak: czapki, piórniki, zeszyty, malowano karty pocztowe, założono drukarnię, introligatornię, bank i kasę oszczędności. W określonych terminach uczniowie wypowiadali się w sprawie *wyboru przyszłego zawodu,* budowali warsztaty, zakładali sklepy, odpowiadające ich zdolnościom i upodobaniom; mogli oni powiększyć swe fundusze pilnością i pracą, bo wypłacano im po jednym franku kartonowym za każdą dobrą notę otrzymaną przy egzaminach. Gra z biegiem czasu stawała się coraz bardziej zajmującą i urozmaiconą, zawiązywały się między kolegami różnorodne stosunki, organizowały się spółki i stowarzyszenia wzajemnej pomocy.

W zbiorowej pracy i zabawie zdarzały się nieraz różne nadużycia, zakradał czasem nieład, okazało się koniecznem powołanie *władzy* dla utrzymania porządku. Ustanowiono *radę gminną* i wybrano *wójta*, który zorganizował policję i pocztę. Rada nadała nazwy i opatrzyła liczbami poszczególne dzielnice terytorjum szkolnego, nałożyła na wszystkich *podatki* dla zaopatrzenia wspólnego skarbca. Uczniowie, jako obywatele gminy, płacili podatki w stosunku do swoich dochodów, wnosili opłaty od warsztatów i sklepów. Na rozkaz wójta dokonano spisu obywateli gminy, którą zaczęto nazywać *Rzeczpospolitą szkolną.* Rozwijała się ona szybko i pomyślnie, pojawiło się czasopismo, biuro pośrednictwa pracy i reklamy wyrobów. Ukazanie się pierwszego numeru pisma szkolnego wywołało tak chałaśliwą radość, że wójt zmuszony był nakazać spokój przez bicie w bęben i ustanowić urzędnika, który głosem donośnym zawiadamiał obywateli o rozporządzeniach władzy i ważniejszych wypadkach zaszłych w społeczności. W piśmie przejawiały się różne poglądy i mniemania uczniów, krytyka opieszałych lub niezdolnych urzędników, co oddziaływało nieraz dodatnio na ich poprawę.

Zczasem zaszła potrzeba wezwania dziewcząt do pomocy w szyciu, z którem to chłopcy nie mogli sobie poradzić. Przy sposobności tej określono rolę *obcych przybyszów* w rzeczypospolitej i znaczenie paszportów.

Aby zapobiec nadużyciom w sklepach i warsztatach, w których nabywano niekiedy za kartonowe pieniądze nożyczki ołówki, nici, ustanowiony został *strażnik celny*—poza obręb szkoły wolno było wynosić tylko przedmioty sporządzone przez uczniów. Strażnik kontrolował nadto środki spożywcze, przynoszone na śniadania i podwieczorki i czuwał nad zegarem szkolnym. Mali wytwórcy i kupcy urządzali od czasu do czasu wystawy swoich wyrobów, ogłaszali konkursy, zaprowadzili w szkole telefon, organizowali spółdzielnie, zawierali między sobą umowy, dzielili się zyskami osiągniętemi wspólnym wysiłkiem — ścisłe regulaminy zapobiegały skargom i nadużyciom.

A GDY NADEJDĄ ZIELONE ŚWIĄTKI. .

A gdy nadejdą Zielone Świątki,
z polnego kwiecia wieńce upleciem
i przystroiwszy izb swych zakątki!
każdziuchną przyzbę ubierzem kwieciem;
brzeziną ściętą — na znak pamiątki —
i tatarakiem, listowiem świeżem!
a gdy nadejdą Zielone Świątki,
każdziusią chatę w zieleń ubierzem!!!

EDWARD KŁONIECKI

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA

DOCZEKAŁ.

(Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA).

Dokończenie.

Teraz w ciemnej izbie, zgarbiony na stołku, zanucił z cicha pierwsze swe wezwanie:

Wraz więc śpiewajmy! Choć dola przygniata —
Pieśń niech nas wszystkich bratnim węzłem splata,
Pieśń w swojem łonie skarby nieba kryje —
Cześć jej i sława! Niechaj nam pieśń żyje!..

Rozbrzmiewało ono długi szereg lat. Oto pierwsze na Śląsku kółko polskie śpiewackie, zwane w miarę jak je Prusacy zamykali: Kołem św. Alojzego i Kasynem polskiem. Nakoniec chowali się, by śpiewać, do Herodowej kaplicy w niedokończonej Kalwarji, skąd dzieciaki Herodami ich nazywały, a gdy żandarm i to schronienie wytropił, to w lasach, albo na polu...

Hej, czasy to były, czasy! Ile jego pieśni rozeszło się po Śląsku? Chyba z osiemset.. Różne były, ale o jednem mówiły... I minione lata pracy wydały mu się naraz niby rola, którą siewacz tajemny zeszedł ukradkiem przecież starannie, nie omijając ni piędzi.

Drzwi skrzypnęły. Nieomylnym słuchem poznał, że idą gospodarz Franciszek Gracek, proboszcz Woźniak i sztygar Bompała. Pozdrowił ich serdecznie prosząc by lampę zaświecili, bo wiadomo, widzącym niemiło w ćmaku siedzieć, a na polu już dawno noc być musi.

— List macie? zagadnął proboszcz.

— Jest — rozpromienił się Hajda, podając mu papier.

Ksiądz czytał głośno, z uwagą, wśród ogólnego milczenia.

— Wszędy padają, że Polska zaś bydzie, przytwierdził sztygar nakładając fajkę.

— Ze wszystkiem co polskie było...— dodał żywo Hajda.

— To i Śląsk niby?

— A toć.

— Nie wiadomo czy tam jest, ale po co drzyć się do tej Polski... — zauważył sztygar obojętnie.

— A czemu też tak? — obruszył się stary wstając.

— Siednijcie se Wawrzon. To tam nic wielkiego... Nie pieknie o Polsce gadają... Był tu jedem z Dąbrowy niedowno... Godoł:—Po bolszewicku wszystko zrobjemy, nie przeja nam ksiendzów ani sztudyrowanych panoczków...

— Zbój to jakisik abo chachar godoł...

— Żoden zbój ani gałgon, jeny górnik. Wam, Hajdo dycki się widzi, że w Polsce sami święci, a nom trzeja dobrze rozwożyć czy się też opłaci do Polski należeć... We Warszawie tyż o nos Ślązaków mocka nie stojom, jeszsze tam za Ruskiem płaczom...

— Nie dejcie wiary ludkowie, nie może to być!

— Bajić! Wy Hajda godocie całkiem kiej dzieć. My wiemy prowdę nie z ksionżek, a od ludzi żywych kierzy stamtąd do nos przyszli. Życie — nie śpiewka! Jeszcze tej Polski nima, a już się w niej ludziska i partje jak psy żerą...

— Niemce to godają na złość...

— Kiej nie Niemce a Poloki. Naisto wom padom — w Polsce nima dobrze. Z Niemcem nom źle, a w Polsce jeszcze będzie gorzej...Same socjały, nieznaj Bogi bedom nom rozkazować...

— Panie farożu! a dyć godejcie też co, dyć to tak nie może być!

Ksiądz tarł z frasunkiem podbródek.

—Niedobrze jest podobno—westchnął. —I gazety o tem piszą... Mam tu właśnie „Gazetę Ludową“...

— Lecz stary zaprzeczył głową uparcie i zamilkł pogrążony w żalu. Goście rozmawiali jesze długo, stukając kuflami piwa po które posłał gospodarz. Czytali głośno gazetę. Nie słyszał nic z tego. Odgrodził się od nich milczeniem, cofając się w swą noc nieustanną. Tam za szańcem kalectwa w państwie swem własnem, swobodnem, otrząsnął z głowy ich gadki cudaczne i wybiegł myślą daleko. Oto łąka zielona, słoneczna jak szczęście... Jadą żołnierze polscy, radosne zwiastuny swobody, jadą śpiewający... Otwiera im duszę, naoścież... Otwiera serce stęsknione na przestrzał... Wita, chyląc się do kolan, ni to gospodarz oczekiwanym od lat wielu gościom.

* *

Czerwcowe słońce grzało pergaminową twarz starego Hajdy. Wśród tłumu huczącego jak morze, przepasany powstań-

czą wstęgą waleczności, stał pod bramą tonącą w zieleni i kwieciu. Brama wzniesiona była na tym samym gościńcu którym niegdyś król Jan III jechał by się cudownej Matce Boskiej w Piekarach pokłonić. Tłum czekał. Hajda czekał wraz z nimi, lecz zalękniony jakiś i niepewny. Może dlatego, że czuł się coraz to bardziej zgrzybiałym i osieroconym, wydawało mu się teraz często, że długie lata prześladowań i okrucieństw pruskich mniej były ciężkie i bolesne, niż haos ostatnich czterech lat. Zmęczyły go i stargały do cna. Dawniej droga była prosta: Po jednej stronie niedościgniona świetlista Ojczyzna, po drugiej nienawistny wróg. Obecnie skłębiło się wszystko. W zaciekłych walkach partyjnych, intrygach politycznych, goryczach plebiscytowych, w morzu plugawego atramentu, zginęły dawne pojęcia. Z zagmatwanej plątaniny wyłaniało się oblicze inne, niż to w które całe życie wierzył i oto dzisiaj, dożywszy chwili zwycięstwa czekał pod bramą utkaną flagami, z duszą pełną niepokoju. Dawny obraz Polski rozświetlający ciemnicę kaleczą zaginął w szarpaninie dni, w powodzi obmierzłych wieści prawdziwych i nieprawdziwych, zatracił się doszczętnie, spełzł. Czem go zastąpi? W jakiej postaci zjawi się Polska za chwilę?

— Idom! — chwycił go za łokieć przyjaciel i opiekun Franc Gracek.

— Kandy?!

— Krzyk tłumu zgłuszył odpowiedź. Potężne: Idą!

Idą! — niosło się ponad głowami. Ludzie parli wprzód, pchali się jedni na drugich, nieczuli na nic, wpatrzeni. A oni szli rzeczywiście. Złoty pył drgał po nad niemi. Miarowo dygotała ziemia.

— Gracek! godejcie? gdo idzie naprzód?!

— Ułany idom...

— Ułany?!

Chciał pytać dalej, lecz głos zatonął w grzmocie radosnym wiwatów. Ku nadjeżdżającym wyciągnęły się wokoło setki ramion.

— Godejcie! — żebrał stary nawpół z płaczem targając przyjaciela za rękaw.

— Co mom godać... Już som blisko... Hnet bedom. Pieknie w słoneczku jadom... Zielone błonie za niemi... Ułany majom chorągiewki żółte... lance świecom... muzyka przodem... Co się wom ale stało Hajdo?! Co wom?!

Załamał się, opadł stary. Oto marzenie utracone szło ku niemu. Boże! Widzieć!...

— Widzieć!... Ujrzeć wytkany w ciemności sen rzeczywistością! Cudu!!! Widzieć!!! Zobaczyć... Bodaj na sekundę!... Widzieć!...

Szlochał w głos, nie baczny, że już nadjechali, zapominając pracowicie przygotowanej przemowy. Zgarbiony ściskał siwą głowę oburącz z rozpaczą.

— Och... widzieć!... Widzieć!... Chryste! ja chcę widzieć!...

Dowodzący wojskami generał Szeptycki nachylił ku niemu orlą twarz prawie z tkliwością.

...nie możesz pan widzieć wojska polskiego, ale usłyszysz za chwilę tętent ułanów polskich wjeżdżających...

Krótki rozkaz, moment ciszy.

Srebrny wrzask trąb rozdarł powietrze, zatargnął tłumem, wybił się w górę, popłynął... Zagrzmiała ziemia pod ulewą nagłą kopyt, zaszumiały proporczyki, burza młodych głosów poniosła pieśń nieśmiertelną, młodą, rodzoną, zwycięską...

— Jezu roztomiły! Jezu!... wyszeptał ślepiec i padł bez czucia na ziemię.

HEJ, DO APELU STAŃMY WRAZ!...

(na nutę „Roty").

Hej do apelu stańmy wraz,
Budować Polskę nową,
Ojczyzna wolna woła nas
Do pracy ręką i głową;
Nie wydrze nam jej znowu wróg, } 2 razy
Tak nam dopomóż Bóg.

Młodzieży młodą Polskę twórz,
Szczęśliwą, Bogu miłą.
Gdy z nami Bog, przeciw nam któż?
On jest najwyższą siłą;
Ojczyźnie spłacim święty dług, } 2 razy
Tak nam dopomóż Bóg.

Fr. BARAŃSKI

JAN WIKTOR

WIEWIÓRKA.

Dokończenie.

Wiewiórka w mgnieniu oka pod napastnika.

— Kiz djabli nadali. Kaj się podziała.

Kogut rozgląda się, patrzy się, gdzież mu ta ćma zginęła. Zaklął pod dziobem.

— Cary chyba.

Nagle rozdarł się w niebogłosy. Wiewiórka chlast go z dołu pazurami. Zanim zdał sobię sprawę już był podrapany. Wziął ogon za pas i w nogi. Zziajany pędził. Wiewiórka za nim. Ściga go ot tak dla zabawy. Czuka, śmieje się podskakuje, jakby nic innego nie chciała zrobić, tylko tak dla swawoli wyrwać jedno pióro z ogona. Aż pod szopę ściga.

Tam zgromadzone kury w trwodze gdaczą, kiwają głowami, łamią z rozpaczy skrzydła, niby baby przerażeniem zdjęte, a drące się w niebogłosy. Zgorszone są, że ktoś śmie ich wojownika zaczepić. Patrzą z miłosną litością. Kogucisko ledwie zipie. Tchu złapać nie może. Nadyma się dumnie, płonie cały czerwony.

— Dom jo jej jeszcze — popamięta mnie. —

W tej władczej groźbie jest więcej goryczy i plew zarozumiałości niż odwagi.

A wróble wszędobylskie w śmiech.

Kogut — zwołuje nie chcąc słuchać drwin wobec wielbicielek.

— Chodźmy stąd — pójdźcie.

Sam pierwszy kroczy pyszny, wspaniały, aby jak najdalej od miejsca niezaszczytnego.

Kury oniemiałe z podziwu do siebie szepcą.

— On wse pikny — kieby z ognia — jaże w ocach i na wnątrzu poli.

Wiewiórka stoi, śledzi. Pyszczek ma rozbawiony widać dusza jej aż pęka ze śmiechu.

Nagle trzask, prask. Burza szczekania z ganku wypada. Błyskawiczny skok, gwałtowny stukot po pniu i wióra kory od pazurów. W mgnieniu w połowie smreka. Nie może zdać sobie sprawy.

— O rety — cos to.

Zatrzymuje się, głowę odchyla, zapuszcza wzrok w gęstwinę. Pod nią biały rząd kłów, jęzor wywieszony, pysk rozdziawiony niby ognista czeluść dysząca gniewem. Któżby jak nie Wobo. Podrapała się po pyszczku, jakby mu zagrała na nosie.

Chytoj com ci ze strachu w powietrzu ostawiła. Moze ci wystarcy, a bedzies mioł mało to ci docynię.

Potem powoli na śz zyt. Drży cała. Niemal słychać w małej piersi stukot przerażenia. Bije serce na alarm. Nic dziwnego, z takiej paszczęki się wyrwać.

— Niechze bedzie chwała wiewiórce na wysokościach. Sercem jesce zmówię paciorecek. Worces sama widzę. To beła śtuka — z takiej kufy — się wyrwać nikiej z paś i.

Wobo zupełnie zbaraniał.

— Ledwo na ziemi, a już tam pod niebem. Przecie nie ptak, skrzydeł nie ma.

Wspina się. Usiłuje wleźć na drzewo. Drapie pień. Ani mowy. Zadziera łeb, wącha ślad ucieczki, drogę skoku, wstydem go przejmującą. Wywala ślepia, drepce w miejscu, oblatuje dookoła, szczeka, pyskiem i ogonem grozi. Szczekaniem zemsty nie wywrze i nie wygryzie.

Z wierzchołka odpowiada mu czukanie szydercze.

— Głupiś. Nie rozdzieraj pyska, bo cie gospodyni kijem uspokoi.

Wobo zas niemal od zmysłów odchodzi. Z oczu strzelają błyski z rozdziawionej paszczęki, lawina szczekania, gróźb, przekleństw jakby to pioruny spadające z chmury serca.

A ona niewzruszona i nieczuła W pewnej chwili stanęła slupka, nakryła się ogonem niby baba spodnicą głowę ochraniającą w czasie deszczu, przybrała zgoła nieprzyzwoitą postawę i czuknęła, czego nie można jako żywo przetłumaczyć bez obrazy i bez narażenia się na gniew takiego psa jak Wobo. Gryzie najspokojniej szyszkę trzymaną w łapkach przednich, roni łuski jakby nimi pluła na psa.

Wobo sterczy bez ruchu, wściekły, do szału doprowadzony swoją bezsilnością. Już zupełnie ochrypł. Nijak mu odejść z pola tak sromotnej hańby. Chciałby je opuścić z jakim takim honorem. Żaden ratunek, żaden wybieg nie strzela mu. Głowa pusta jak miska po obiedzie. Jak może nadrabia miną, macha ogonem. Zda-

je sobie sprawę ze swej kompromitacji. Nie śmie nawet oczu podnieść na gromadę wróbli, rzucających grudki szydliwych ćwierków.

Znudziło się już wiewiórce w jednem miejscu. Dalej w drogę. Skoczyła nisko, udając że upada. Wobo jednym susem w górę. Ona mignęła przed oczami i zginęła w gęstwinie.

— Głupiś — głupiś.

Wobo zły wraca. Z zawstydzeniem ogląda się. Ukradkiem spojrzał na ganek. Spotkał mój wzrok. Chce się usprawiedliwić przede mną.

— E, co z taką zadawać się.

— To prawda. Ale że wiewiórka gwiżdże na ciebie to też prawda.

— Podyrdał żwawiej, nie chcąc patrzeć w moje oczy. Ogon spuszczony, znamionyje zły, jak to mówią pod psem humor. Pod nos wlazła mu kura. Chwycił ledwo za ogon, a tu służąca otwarła gębę jak wrota.

— Idzies ty psie mięso, kury bedzie strachoł. Wobo stękając upadł na podłogę Kręci się, wierci jakby na. paździerzach leżał. Wciąż przegryza wspomnienia. Mruczy groźnie.

— Jesce mi wpadnie w zęby — zywą nie wypusce. — Takie małe — a takie chybkie — machnie w nos ogonem i chytoj, cos nie zgubił — psiakrew.

Ale wiewiórka tego nie słyszy. Już daleko — daleko. Wyłoni się z zieleni i ginie. Pełna życia, radości i ruchu skacze. Gdzieś staje niby ciemna figurka. Czuka zadowolona, łuszcząc szyszkę i znów w drogę.

Biega — biega i szuka tego ziarna życia, które gdzieś na nią czeka.

Od rana do nocy niezmordowanie żywa, zadowolona i wesoła.



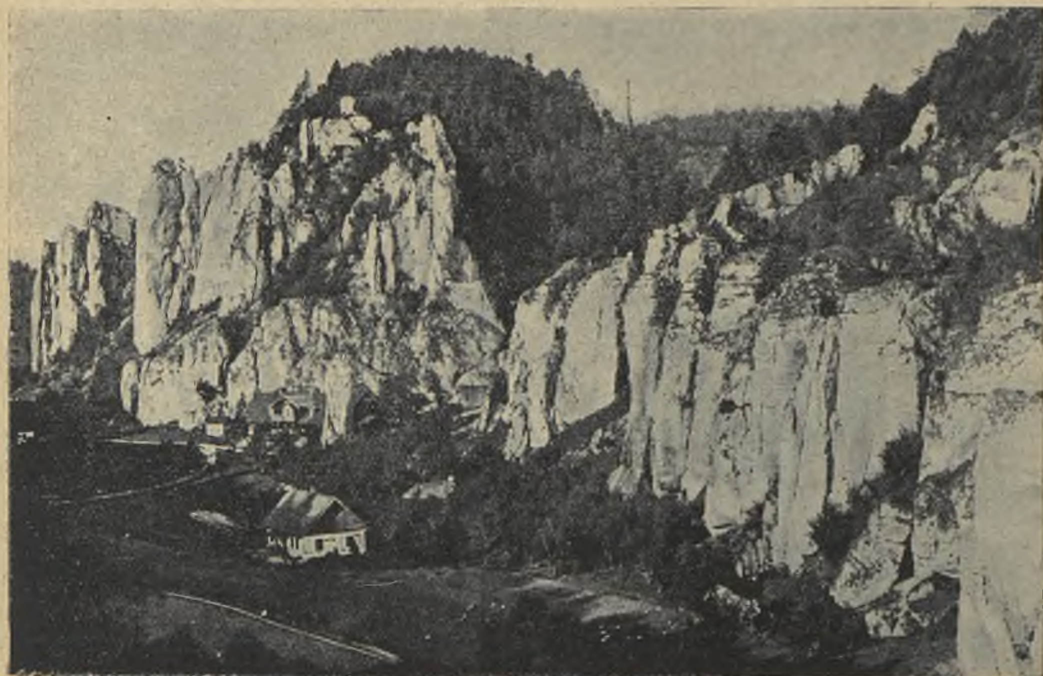
Co to jest? („Konkurs literacki").

Dr. ANIELA KOZŁOWSKA

NAD PRĄDNIKIEM.

Dolina Ojcowska to najpiękniejszy zakątek ziemi Krakowskiej. Wśród falistego, polnego krajobrazu, gdzie jak okiem sięgnąć szumią pszeniczne i żytnie łany, a jedynie miedze wśród pól znaczone są bujnem barwnem kwieciem, czemś nieoczekiwanem, a jednocześnie radosnem jest dolina Prądnika. Wcięta głęboko w otaczającą wyżynę, kryje wśród ciemnego płaszcza lasów, w baśniach chyba tylko wyśnione, skalne baszty, bramy kamienne, sale i chodniki podziemne. Prądnik, wartko płynący po dnie doliny, obrzeżony jest z dwóch stron wąskim pasem łąk, które w pierwszych dniach czerwca złocą się i czerwienią od jaskrów i firletek. Do tego pysznego, pełnego niemilknącego owadziego brzęku, kobierca przytykają z dwóch stron raptownie w górę dźwigające się skalne urwiska. Mroczny stary las z bukiem, jodłą i świerkiem nadaje dolinie wyraz dostojności i ciszy. Odwieczne buki, szumiące gdzieniegdzie nad Prądnikiem, to jedyni widoczni świadkowie czasów minionych, gdy być może jelenie bez trwogi pić mogły wodę z zimnych wywierzysk wapiennych, a człowiek w noc Swiętojańską szedł szukać wśród leśnych ostępów cudownego kwiatu paproci.

Las bukowy zarówno wiosną, gdy pokryty jest delikatnem, przeświecającem listowiem, jak i latem, gdy tworzy tajemną a mroczną ścianę leśną, jak wreszcie jesienią. mieniący się złotem i czerwienią stanowiąc zbiorowisko roślinne od prawieków związane z doliną Prądnika, to jest najpiękniejszem tłem dla skalic wapiennych. Wybielone ich ściany zarysowują się na tle lasu w najdziwaczniejszych kształtach: turnie, baszty, kominy, iglice piętrzą się wokoło. Miejscami skała sterczy wśród doliny samotnie, niby ręką olbrzyma postawiona, na której tylko sokoły, siadywać mogą, jak Sokola Skała w Pieskowej skale, inaczej Maczugą Herkulesa zwana. Niekiedy prostopadłe ściany zbliżają się tak bardzo do siebie, że tworzą potężną bramę wjazdową, godną by mógł nią przejeżdżać orszak



Dolina Prądnika. Ogólny widok Ojcowa.

królewski.

Czerwiec to czas bujnego rozwoju świata roślinnego, ziemia ma oblicze podobne do kwiatu, którego korona cudna już nie zdoła przybrać świetności większej. W dolinie Ojcowskiej na skałkach *róże dzikie* obsypane są jasno różowym kwieciem, gdzieniegdzie *głogi* bieleją. Na miejscach połogich wśród darni trawy, siną szadzią pokrytej widnieją krwiste plamy *goździka kartuzka*, kiście złotego *szczodrzeńca* się zwieszają, *szałwia łąkowa* wyniośle wznosi swoje kwiatostany, *główienki* tulą się wokół.

Na wyniosłej skale po drodze do jaskini Ciemnej rozwinęła cudne swoje piórkowate owoce *Ostnica Jana*, trawa, rosnąca na Podolu nad Dniestrem a będąca osobliwym, rzadkim gościem nad Prądnikiem. A oto tuż obok w lasach spotykamy innych obcych przybyszów: to rośliny górskie karpackie, które też wespół z innemi rosną nad Prądnikiem.

Choć tak pełen krasy, jednak nie odkrył nam jeszcze Ojców największych swoich tajemnic. Wśród lasów i skał ukryte, biegną w górę w wielu miejscach wąskie ścieżynki, któremi ciągną w dnie świąteczne całe sznury ciekawych wędrowców do wielkich grot i jaskiń skalnych, znajdujących się kilkadziesiąt metrów ponad dnem doliny. Z zapalonemi małemi świeczkami dostajemy się przez wąski otwór do wnętrza.



Ojców. Igła Deotymy.

Ciemne, sklepione pieczary uderzają nas swoim ogromem. Największa sala balowa nie może iść w porównanie z jaskinią Ciemną, w której wedle podania królewskie odbywać się miały biesiady. A co tam labiryntów, korytarzy rozchodzi się na wszystkie strony! Ze sklepień sączy się kroplami woda, szmerem przyciszonym rozlegając się w jaskini. Sciekając przez lat tysiące wytworzyła na ścianach i sklepieniach osobliwe, białe nacieki wapienne, tak zwane *stalaktyty*, podobne do lodowych sopli, zwieszających się zimą z naszych dachów. Woda deszczowa, przepływając przez warstwę gleby i wapienia, zasobna w kwas węglowy, rozpuszcza w sobie wapień, następnie wydostając się znów na powierzchnię w ja-

skini, traci kwas węglowy, a wapień w formie białego nacieku pozostawia na ścianach pieczary.

Jeśli pragniemy, aby jaskinie odkryły nam wszystkie swoje tajemnice, to musimy przeszukać dokładniej ich wnętrza. Niby z zapylonych kart starej księgi, słowo po słowie, dosłaniają się przed nami dzieje odwieczne. Tu znajdują się ślady pierwszych mieszkańców tej ziemi, których domem była jaskinia, odzieniem skóra niedźwiedzia, a bronią kamienna siekiera. Na dnie jaskini złożone warstwami znajdują się szczątki pierwszych ludzkich siedzib. Obok krzemiennych narzędzi leżą tu szczątki zwierząt dziś wygasłych: *niedźwiedzia jaskiniowego, hijeny, renifera, mamuta.*

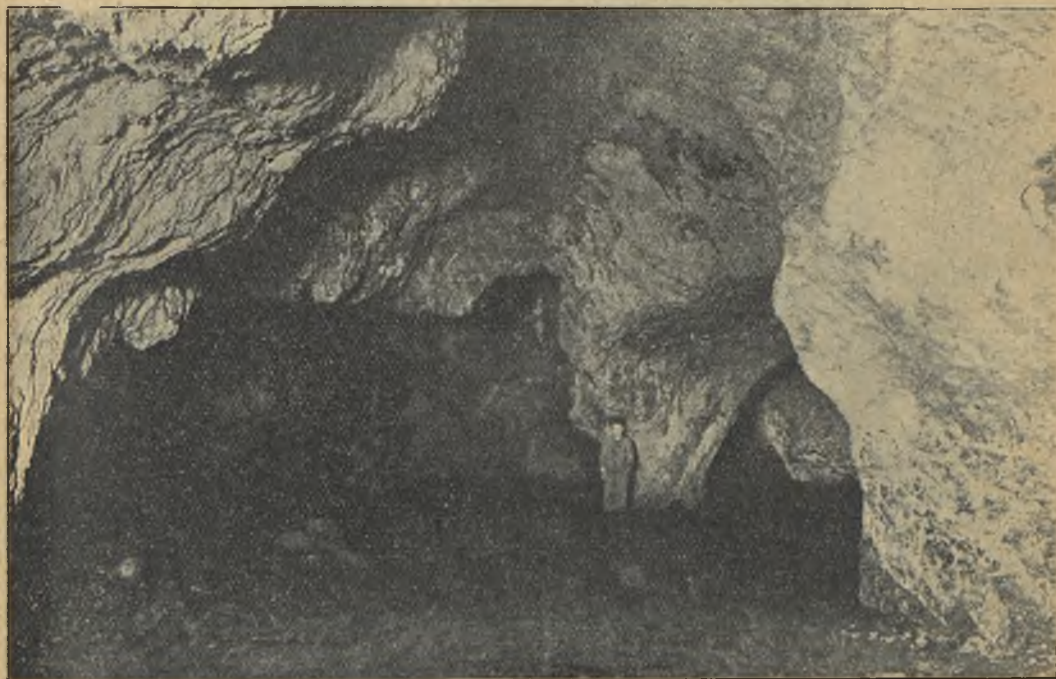
To szacowne szczątki tych, którzy żyli w czasie groźnego kataklizmu jaki przeżywały ziemie Polskie, gdy ogromne masy lodów z dalekiej północy potężnym płaszczem zasłały cały niż Północnej Europy.

Człowiek dyluwialny zdobywał sobie wtedy prawo do bytu wśród walk nieustannych z groźnemi siłami przyrody. Z tych to zamierzchłych czasów pozostały do dziś dnia na urwiskach skalnych drobne roślinki przybyłe z lodowcem z dalekiej północy, jak np. *łomikamień gronkowy*, pokrywający zbocza doliny Będkowskiej.

Jaskinie były schronieniem dla człowieka nietylko w okresie dyluwialnym, wśród grubych warstw namulisk, znajdujących się na dnie jaskiń, odnaleźć możemy ślady kultur późniejszych, gdy praojcowie nasi zaczęli wieść życie osiadłe, rolnicze i nad Prądnikiem po raz pierwszy obsiali zagony ziarnem pszenicznem.

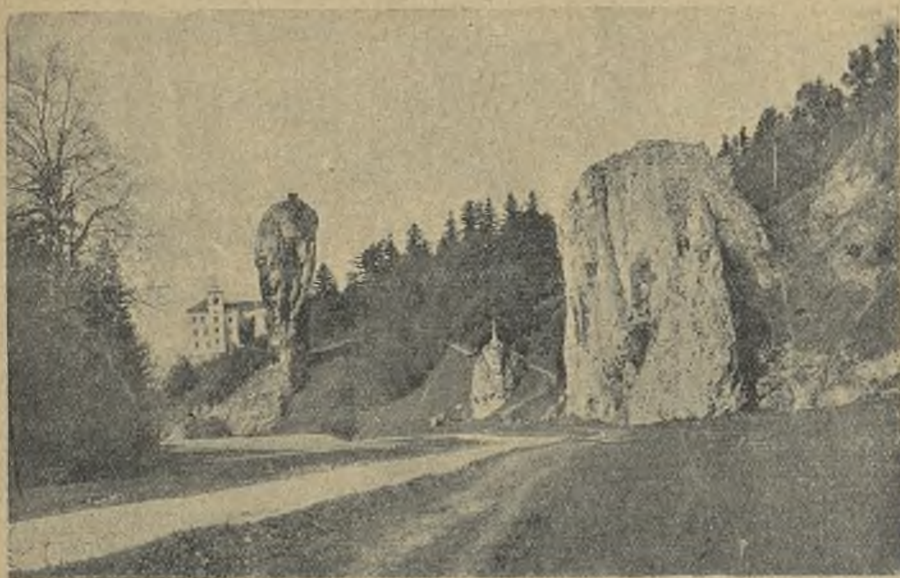
Ojców związany jest zatem z naszą przeszłością nietylko wspomnieniem króla — tułacza, który znalazł tu w czasach zamieszek schronienie, ale widocznemi śladami pierwszych tej ziemi gospodarzy, którzy ciężkim trudem zdobywali sobie prawo do bytu i wśród borów nad Prądnikiem uczyli się czcić kochać i rozumieć przyrodzone bogactwo tej ziemi.

Dzisiaj, gdy setki dzieci rok rocznie jedzie nad Prądnik, by nacieszyć się pięknem doliny i zwiedzić pieczary pod-



Wejście do jaskini Ciemnej.

ziemne, narzuca się, każdemu pragnienie by Ojców zachować na zawsze niezniszczony w pierwotnej swojej szacie. Niech las bukowy, nietknięty siekierą, szumi po wsze czasy nad Prądnikiem, niech bujne kwiecie rozwija się swobodnie na skałach,



Pieskowa skała z Maczugą Herkulesa.

niech rzesze ptactwa nie płoszy myśliwy! Niech każdy wędrowiec wchodzi tu z poczuciem głębokiem, że to nie moje, ani twoje, ale nasze ojczyste!

Z DALEKICH KRAJÓW: SŁOŃCE O PÓŁNOCY.

Nie myślcie, że chcę Wam opowiedzieć jakąś legendę z dawnych czasów, lub może o tym, bardzo zajmującym i pożytecznym nowym sposobie leczenia chorych zapomocą tak zwanej „lampy kwarcowej", której światło równa się prawie światłu słonecznemu, a mogłoby być przecie i o północy stosowane. Nie, światło, o którem opowiem nie jest ani wymysłem poetyckim, ani wytworem sztucznym, jest to całkiem prawdziwe naturalne światło słoneczne, które każdy człowiek zobaczyćby mógł o północy — gdyby był tak zamożny, że mógłby pozwolić sobie na podróż do północnych wybrzeży Norwegji. W pobliżu Cap Nord ciągnące się *fjordy**, obrzeżone górami, stanowią przepiękną osobliwość tych krajów północnych i ściągają turystów z całego świata. Prawdziwym jednak cudem przyrody nazwać można czarodziejską grę świateł i cieni, roztaczającą się o północy przed oczyma widza na wybrzeżach Norwegji. W miarę zbliżania się ku północy, począwszy od pewnego stopnia szerokości geograficznej kolejność następstwa dnia i nocy zmienia się. U nas liczy się przeciętnie na dzień 12 godzin i na noc tyleż, a chociaż w lecie dzień jest dłuższy a noc krótsza, to zawsze w obrębie jednej doby, czyli 24 godzin następuje po każdym dniu noc. W okolicach polarnych natomiast rok dzieli się na dwa okresy po 6 miesięcy. Jeden z nich, mianowicie zima, pogrążony jest prawie zupełnie w cieniach nocy, w drugim zaś okresie tj. w lecie słońce przez 6 miesięcy prawie nie znika z widnokręgu, lub na bardzo krótko tylko. Noc jest wówczas tylko jak gdyby zachodem słońca trwającego przez kilka godzin, a bezpośrednio po nim następuje wschód. Przez czerwiec i lipiec słońce jest wciąż widoczne i nigdy nie kryje się poza linję widnokręgu. O samej północy zatrzymuje się na kilka chwil ponad linią widnokręgu i zalewa krajobraz czarownem światłem:

Oto słońce o północy. Cudowne to zjawisko nocne trwa od 23 maja do 27 lipca. Przed rozbłyśnięciem słońca widok nieba zmienia się z każdą minutą. Złoto ustępuje miejsca, prze-

źroczystemu błękitowi, który stopniowo przyjmuje odcień zielony. W niektórych fjordach o godz. 10 morze jest stałe i wygląda jak lodowe zwierciadło po którem od czasu do czasu przebiega różowy błysk. Z pomiędzy chmur przegląda jasne niebo. Aż nakoniec kula słoneczna wznosi się powoli i nagle jeden promień pada u stóp skały, a wnet zalewa ją światło, które po chwili rozjaśnia całą okolicę aż do najciemniejszych zakątków. Dr. F. N.

* Fiordy są to zatoki morskie wąskie a głębokie ograniczone wysokiemi skałami.

GUSTAW MORCINEK

Nasze obrazki: „ZWYCIĘŻYLIŚMY!" W. Kossaka.

Zwyciężyliśmy!...

Lasek falencki pod Raszynem i grobla między stawami trzy razy przechodziły z rąk do rąk,—raz je zagarnęło mrowie Austrjaków, drugi raz szczupłe szeregi naszych żołnierzyków! Zdawało się, że musimy ustąpić zawziętym Austrjakom, że po raz trzeci już ich nie odeprzemy. Zsiada wtedy z konia nasz wódz, książę Józef Poniatowski, zapala fajkę, podnosi z ziemi porzucony karabin z najeżonym bagnetem, podchodzi przed szeregi wyczerpanych żołnierzy i tak powiada: „Chłopcy, baby w domu z nas śmiałyby się, gdybyśmy zostawili pole tamtym włóczykijom! Naprzód za mną, kto w Boga wierzy" !... I poszedł. Gdy to żołnierze ujrzeli, jak nie wrzasną głosem wielkim Hurrra!, jak nie ułapią mocno karabiny, jak nie ruszą pędem, kieby lawina, na ogłupiałych ze zdziwienia Austrjaków, iż stał się taki zamęt, zamieszanie, taki okropny wrzask tłuczonych Austrjaków poleciał pod niebo, że aż te wrony w okrutnem przerażeniu uciekały daleko, lamentując rozgłośnie, a Austrjaki kładły się na ziemię bez ducha, kieby te snopy zboża podcięte straszliwą kosą.

A teraz... w dalekiej głębi, gdzieś na widnokręgu dogorywa zwycięska dla nas bitwa. Wróg cofnął się daleko, poza stawy, znacząc krwawą drogę trupami swych żołnierzy. Oto leżą teraz biedacy na grobli, między staremi drzewami, co se w rząd przystanęły, leżą ciężko i niedbale, na wieczne odpocznienie, w polskiej ziemi, czekający. A środkiem grobli, pomiędzy drzewami i stygnącemi zwłokami, pędzi na koniu oficer polski i krzyczy radośnie: „Zwyciężyliśmy!"... Koń gna, jak szalony, bodzony ostrogami, sadzi olbrzymiemi susami w niepohamowanym pędzie, wznosi w tej chwili przednie kopyta, by za chwilę, za drobną chwileczkę runąć wprost na nas, przelecieć jak wicher i pognać w świat daleki z radosną nowiną. Koń się w burzę zamienił. Podniesiona głowa, rozdęte chrapy, płomienie w oczach, rozwiana grzywa i te nogi przednie, wspinające się w gwałtownym skurczu do piorunowego skoku naprzód!

A oficer, adjutant samego księcia Józefa — o czem świadczą sznury na piersiach — wznosi rękę wysoko i krzyczy radośnie o zwycięstwie. Wichr szarpie czerwone poły jego munduru, porywa z rozradowanych ust krzyk o zwycięstwie, roznosi ponad uciszone stawy, ponad szare pola, pod niebo wysokie, na calutki świat, żeby serce polskie uradować.

Scena powyższa przedstawia nam epizod z bitwy pod Raszynem w r. 1809, kiedy to armja austrjacka, licząca 40.000 żołnierzy, wkroczyła w Księstwo Warszawskie, by je zawojować. Czoło jej stawił wtedy książę Józef Poniatowski, mający zaledwie 12.000 żołnierzy polskich a 1.300 saskich. Wojska spotkały się pod Raszynem. Prawie cały dzień trwająca bitwa skończyła się naszem zwycięstwem.

Znany już Wam Wojciech Kossak, którego obrazki widzieliście na okładkach pierwszych dwóch numerów („Straż nad Wisłą" i „Orlęta") ujął po mistrzowsku ten drobny epizod. Patrząc się na nasz obrazek, wyczuwamy bezwiednie ten ogromny pęd konia, gnającego z wichrem w zawody, i prawie słyszymy ten radosny, radosny krzyk oficera, spieszącego do księcia Józefa z upajającą wieścią o naszem zwycięstwie. Malarz, pragnąc nam dobitniej przedstawić tę radość i pęd, i młode, bujne życie, umieścił jeźdźca na pierwszym planie, na tle stygnących zwłok żołnierzy austrjackich i na tle spokojnych, w cichości bezmiernej stojących drzew. To dwie przeciwności czyli kontrasty, upajający pęd konia i radosny krzyk jeźdźca, a zmartwiała cisza i spokój pobojowiska — czynią ten obraz tak piękny, że aż dziw. No, ale bo też to malował W. Kossak, malarz jakich mało nietylko w Polsce, ale i na całym świecie.

ROZRYWKI

„Ja chcę czegoś, a jeśli chcę zawsze tego samego, to nie mogę wątpić, że mając wieczność przed sobą, wszystkie cele mej woli osiągnę".

W obecnym numerze „Orląt" podajemy ostatni „Konkurs na wytrwałość" jak i również dwa ostatnie obrazki do „Konkursu literackiego" (Co to jest?)

Kto więc jeszcze nie nadesłał wszystkich rozwiązań z poprzednich konkursów, niechże to uczyni najdalej do 15 czerwca r. b. W № 7 „Orląt" będą ogłoszone wyniki wszystkich zapowiedzianych konkursów.

Numer następny № 7 „Orląt" będzie poświęcony pamięci Juljusza Słowackiego, ukaże się dopiero około 20 czerwca z powodu zwiększonej objętości druku.

KONKURS NA WYTRWAŁOŚĆ № 6.

LOGOGRYF-POZIOMY

ułożył Anastazy Kleszczewski
(za rozwiązanie 2 punkty.)

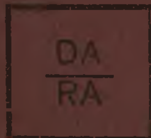
A	A	A	A	A	A	I	A	A
O	D	A	K	A	A	M	P	K
P	R	B	M	D	P	N	S	O
R	W	M	O	R	S	S	T	P
W	Y	R	R	W	T	U	Y	Z

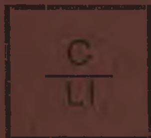
Litery w rzędach pionowych poprzestawiać w ten sposób, aby dały słowo o znaczeniu: 1) Zbiór ustaw — przepisy. 2) Zwierzę wodne. 3) Znajduje się w każdym domu. 4) Owad błonkoskrzydły. 5) Dopływ Dunaju. 6) Służy do czyszczenia. 7) Wyrażenie arytmetyczne. 8) Uczta pogrzebowa. 9) Wystawa. Środkowy rząd poziomy czytany od strony lewej ku prawej da nam imię i nazwisko poety polskiego.

REBUSIKI

ułożył Anastazy Kleszczewski
(za rozwiązanie 4 punkty).







BILET WIZYTOWE

uł. „Teka"
(za rozwiązanie 2 punkty.)

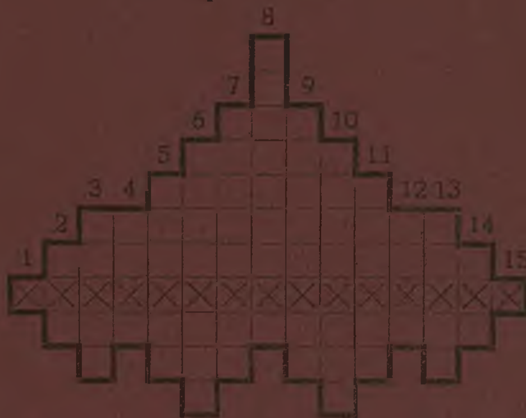
LEON JAMIGAR

MARJAN ONOT

Z podanych nazwisk ułożyć 2 różne nauki.

ZAGADKA

ułożył Józef Flakus
(za rozwiązanie 2 punkty.)



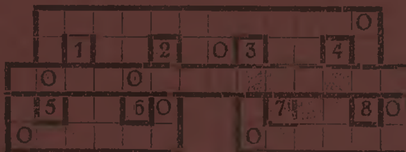
Miejsca oznaczone krzyżykami mają dać imię i nazwisko wieszcza polskiego.

Znaczenie wyrazów pionowo:

1) Litera. 2) napój alkoholowy. 3) dzieło Bolesława Prusa. 4) członek rodziny w 1 przypadku liczby mnogiej. 5) inaczej przyroda. 6) angielski pisarz słynnych utworów teatralnych. 7) powiastka Żeromskiego. 8) sławny rzeźbiarz polski. 9) imię męskie. 10) inaczej obrzydliwy. 11) przeciwieństwo do kłamstwa. 12) dzieło Ludwika Konratowicza (Wł. Syrokomli). 13) trzeba brać ostrożnie w ręce. 14) część ciała. 15) litera.

NOWA ODMIANA WIRÓWKI

ułożył Janba
(za rozwiązanie 3 punkty.)



Wszystkie pola należy wypełnić literami, by naokoło każdej z cyfr utworzył się wyraz o podanem niżej znaczeniu, Początki wyrazów wskazują kółka, Środkowy rząd poziomy da imię i nazwisko najwyższego dostojnika w Polsce.

Znaczenie wyrazów:

1) przełożony w klasztorze. 2) instrument muz. strunowy. 3) drogi bite. 4) biskup poznański XVI w. 5) imię męskie słowiańskie. 6) imię męskie. 7) świątynia. 8) sławny przeor OO. Paulinów w Częstochowie.

Należytość pocztową opłacono ryczałtem.

TREŚĆ NUMERU 6-GO Z DNIA 1-GO CZERWCA 1927 R.

Pismem kieruje: Komitet redakcyjny pod przewodnictwem **D-ra Ignacego Chrzanowskiego** Prof. Uniw. Jagiell.
Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ulica Wandy L. 41. Wydawca: **P. Stasiak.**
Redaktor odpowiedzialny: **Mieczysław Gładysz,** Katowice, ulica Wandy 41.
Przedstawicielstwa: **Warszawa,** Krakowskie-Przedmieście 1, **Jerzy Karbowski.**
Wilno, Benedyktyńska 2 — 3. Skład Główny na Wilno i Wileńszczyznę księgarnia C. Zarządu P. M. Sz. Z. W.
Zakopane, Nowotarska 104.
Warunki prenumeraty „Orląt" z przesyłką pocztową: — kwartalnie 1.50 zł., — półrocznie 2.80 zł., — rocznie 5 zł.
Numer pojedyńczy 25 gr. Zagranicą rocznie 2 dolary. Konto w P. K. O. 303 600.
Prenumerata „Orląt" i „Orlątek" razem: kwartalnie 2 zł. — półrocznie 3.70 zł. — rocznie 7 zł.
Ogłoszenia: za wiersz wysokości 1 mm., szerokości 1 łamu 40 gr. Kolumna posiada 2 łamy.

Drukarnia i Introligatornia L. Martynkowski i L. Nowak w Sosnowcu.